

— Do czasu... a ilu z policyi zabili?

— Niższe czyny, gdzieś w zaułkach, ale nie nas. Już trzy wyroki śmierci dostałem i kpię z nich, strzelali i ze strachu chybili — śmiał się — zresztą nie pora mi umierać, gdy awans na mnie czeka.

— Ano, każdy ma swój rozum.

Pożegnawszy się, wsiadł do dorożki i drogą dalszą, okólną, kazał się zawieźć do swego biura.

W czasie jazdy poczuł jednak niepokój wewnętrzny i obawę przed zamachem. Zachmurzył się, ale po chwili rozpuścił twarz. Swoją drogą zaniem się pokazał na którejś ulicy, wyszedł przedtem tajnych agentów, aby zbadali bezpieczeństwo. Ucieszył się jego kochanka, która tylokrotnie prosiła go, aby kazał się pilnować agentom... zresztą czyż ośmielił się ktokolwiek dokonać zamachu na niego?

O godzinie szóstej, jak było umówione, zjawił się Metal ubrany w pelerynę i w nowej czapce. Powitał go Bal w przedpokoju i wprowadził do saloniku, w którym siedziały Logika i Wanda. Po zaznajomieniu się, zaproponowano przybyłemu, aby wspólnie z nimi wypił filiżankę herbaty i zaczęła się rozmowa, w ciągu której zapytał Bal:

— A wy czem zajmujecie się, towarzyszu?

— Jestem zecerem w drukarni, bo przynajmniej w ten sposób mam do czynienia z książkami, a one mnie zawsze pociągały ku sobie.

— Byliście może w gimnazyum? — spytała Wanda.

— Ja? — uśmiechnął się z ironią. — Gimnazyum jest dla Rosyan i bogatych, a ja byłem i jestem żydem. Trochę uczyli mnie ludzie, a resztę sam zdobyłem.

— Dawno należycie do partii?

— Trzy lata minęło, a dawniej należałem do bundu.

— Znaście Jonasza? — spytał Bal — i co o nim sądzicie?

— Czy o człowieku, czy o bundziście?

— O partii.

— Jonasz, to prawdziwy bundzista, on taki bundzista, że poza bundem świata nie widzi — uśmiechnął się drwiąco.

— Czy można was spytać, dlaczego porzuciliście bund? — odezwała się Logika.

— A mnie dziwi, jak wy możecie o to pytać, towarzyszu; chyba nie znacie bundu i świeżo jesteście w partii.

— Znam bund i wiem, że walczę o wolność, na równi z nami.

— Teraz was rozumiem — i na bladej twarzy pojawił się lekki rumieniec — wy dziwicie się, że ja żyd, nie należę do żydowskiego bundu... Czy tak?

— Nie towarzyszu — pospieszyła Logika — ja nie rozróżniam narodowości w naszej walce proletaryackiej, byłam tylko ciekawa przyczyn waszego wystąpienia z bundu, ale jeśli was to drażni, nie mówcie o tem.

— Dlaczego nie mam powiedzieć? Ja się z tem nie kryję ani przed naszymi, ani przed bundzistami. Wy znacie nasze hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!“ aby znieść wszelki ucisk. Cóż znaczy łączenie? To znaczy, że każdy proletarysz jest moim bratem, że nas łączy miłość i wspólna walka ze wspólnym wrogiem, a mamy tych wrogów dużo, bardzo dużo.

Odetchnął i pił z wolna herbatę.

— Nie rozumiem was — mruknęła Logika.

— Zaczekajcie, niech skończę — uśmiechnął się rad, że uważnie go słuchają — i z tą myślą wspólnie miłości i wspólnej walki wstąpiłem do bundu. Już w pół roku dolegała mi ich wyłączność, ale myślałem, że się mylę, że źle widzę i pracowałem jeszcze rok w bundzie i jeszcze rok. I nareszcie poznałem ich... Bund towarzyszu, zna tylko jednych proletariuszów i to żydowskich; ma jedną miarę... i to żydowską do wszystkich spraw rewolucyjnych i narodowościowych; zna jedną miłość... i to żydów do żydów. On złączył się w imię nienawiści do wszystkiego, co nie jest żydowskie, i idzie drogą nienawiści i wyłączenia. Niema ludu nietylko w Rosyi, ale na całej ziemi, któryby bund kochał i uważył za równy sobie, on jeden i

jedyny jest wybranym ludem. Gdyby dziś rząd ogłosił równouprawnienie żydów, oni dusiliby proletariuszów, pomagiliby rządowi zakuć nas w gorsze i cięższe kajdany, bo osiągnęliby swój cel i byłiby zadowoleni i syci... Czy mogłem ja do nich należeć? Ja jestem socjalistą szczerym, ja żądam wolności i chleba dla wszystkich, a że urodziłem się w Polsce, tu żyję, tu zarabiam na chleb, to nie szukałem obcych bogów, ale zapisałem się do polskiej partii socjalistycznej. A teraz rozumiecie mnie towarzyszu? — zaśmiał się cicho.

— Jeśli macie takie przekonanie o bundzie, nie dziwię się waszemu wystąpieniu — odpowiedział Logika.

— Zdaje mi się, że słuszne — wtrąciła Wanda — wszak pamiętasz, z jaką wyraźną niechęcią, prawie nienawiścią do nas, mówił o nas Jonasz.

Nie samych Polaków on nienawidzi — uśmiechnął się Metal — tak samo i Rosyan i Litwinów i innych.

— To następstwo ich wiekowych prześladowań,

— Dosyć ciężka, tylko czy nie za mała, może nie wystarczyć.

— Za skutek rękę — odebrał mu z ręki — a uważajcie, bo nawet przy silniejszym potrąceniu możliwy wypadek.

— Władziu, czy to bomba? — spytała Wanda z ciekawością.

— Nie, to rodzaj granatu ręcznego.

— Towarzyszu już czas — wstał Metal z krzesła — spieszo mi.

To źle — uśmiechnął się Bal — musicie mieć dużo zimnej krwi. Wypijcie kieliszek koniaku, orzeźwi was.

— Dajcie... a którą godzinę?

— Za piętnaście siódma, pijcie — podał mu mały kieliszek.

— Teraz w drogę — i zwracając się do Logiki i Wandy, dodał — proszę was, nie wychodźcie do mego powrotu.

— Władku, a kiedy wrócisz?

— Za pół godziny... bywajcie zdrowe.

Gdy drzwi się zamknęły, spytała Wanda tonem rozdrażnionym:

— Logiko, czy on zginie?

— Kto?... Bal?

— Nie, Metal!

Nie wiem, a w przepowiednie się nie bawię — i poszła do okna nietylko, aby ukryć swój niepokój, lecz i dla zobaczenia jeszcze towarzyszków.

I widziała jak Bal usadowił towarzysza i sam wsiadł do dorożki i pojechał przez Chmielną na Marszałkowską.

— Jak się czujecie? — spytał Bal.

— Koniak dobrze mi zrobił, szkoda, że nie wypilem więcej — uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czy wy pijacie?

Nie, a przynajmniej bardzo rzadko, na takie zbytki nie mogę sobie pozwolić.

— Przecież dobrze zarabiacie.

Mam matkę starą i siostrę wdowę, mają sklepik na Nowolipkach, tym pomagam.

Bal dowiedział się szczegółowego adresu, a widząc go zmienionego, spytał:

— Co wam towarzyszu?

— Weźcie bombę, muszę się wykaszać... a to trwa długo.

Tymczasem kaszel trwał krótko, a Bal rzekł z uśmiechem:

— To skutki alkoholu.

— Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem, dziś za późno.

Bal wstrzymał dorożkarza w pobliżu Świętokrzyskiej, wysiedli i wkrótce spotkali towarzysza Kwiatka, który ich przywitał skinieniem głowy i uśmiechem.

Bal z Metalem weszli na lewą stronę Świętokrzyskiej, a gdy byli w połowie ulicy, powiedział Bal:

— Teraz spokoju towarzyszu, idę zbadać straż i dorożki.

Najpierw poszedł do towarzyszy od strony Bagna i zbliżywszy się, szepnął nieznacznie:

— Wyjdzie od placu Grzybowskiego, baczność, dajcie znać Metalowi słowem: już.

Obejrzał dorożki, przywitał się milcząco z towarzyszami i poszedł do Metalu, rozmawiającego z właścicielem składu ubrań. Metal zbliżył się do niego, a Bal szepnął nieznacznie:

— Podejdzie do was Ogień i powie: już; to znak, że idzie... spokoju!

— Jestem zupełnie spokojny... zostawcie mnie samego.

Bal podszedł kilka kroków dalej ku Marszałkowskiej, odwrócił się i patrzył na Metalu, który przeszedł na prawą stronę ulicy i począł targować ubranie. Widział go spokojnym, uśmiechniętym, tylko na twarzy były czerwone wypieki, a po przez pelerynę widać było staranne chronienie prawej ręki, w której trzymał bombę.

Po chwili Metal przeszedł na lewą stronę i za ledwie stanął przy latarni, gdy dojrzał Ognia, idącego ku sobie i posłyszał szeptem ciche słowo „już“.

Istotnie przez Bagno szedł trotuarem komisarz Nikiforow w otoczeniu swej straży.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Przeszedł na prawą stronę ulicy i począł targować ubranie.

ich separatyzmu religijno-narodowego, naszego antysemityzmu — broniła Logika swych sprzymierzeńców.

— Nie idzie o filozofię dziejów, idzie o nagi fakt — zaśmiał się Bal — i dziękuję wam towarzyszu za wyjaśnienie.

— Niema za co... ale która godzina? — zawołał niespokojny.

— Trzydzieści pięć na siódmą — rzekł Bal z zegarkiem w ręku — za pięć minut dojedziemy...

— I wy pojedziecie tam ze mną?

— Naturalnie.

— A gdzie to...? — patrzył Balowi w oczy.

— Na stoliku pod oknem — zwrócił się w tę stronę.

— Mogę zobaczyć? — spytał wstając Metal.

— Sam wam pokażę — a widząc Wandę, zbliżając się, szybko zawołał: — Wandziu nie ruszaj!

Wziął w rękę pudełko podługne, okrągławe, pokryte cienką blachą, długości czterdziestu centymetrów, objętości dwudziestu trzech centymetrów i trzymając na dłoni, rzekł:

— To pewna pigułka.

— Dajcie mi do ręki.

— Tylko ostrożnie.